

RESET

A close-up photograph of a vintage-style metal helmet, possibly a gas mask or a military helmet, with several circular openings. The helmet is set against a dark, crumpled fabric background. The lighting is dramatic, with a warm, golden glow emanating from the interior of the helmet, highlighting the circular openings and the texture of the metal. The overall mood is mysterious and evocative.

BARTOSZ ADAMIAK

Reset

I

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że bramy nie pilnuje nikt. Takie założenie było jednak bardzo zgubne. Wystarczyło poczekać dłuższą chwilę, by zaobserwować znamiona życia. Po prawej stronie, zza podziobanego kulami betonowego słupa, wyłoniła się na chwilę lufa zakończona charakterystyczną muszką AK-74. Za wyżartym przez rdzę otworem na samym środku bramy mignął jakiś cień. Kolejny po lewej w krzakach za siatką. W sumie przynajmniej trzech, prawdopodobnie dobrze uzbrojonych ludzi, którzy nie mieliby skrupułów przed otwarciem ognia do obcego.

– Gibon, pomału do przodu. Violet flaga – zakomenderowałem szeptem.

Zupełnie niepotrzebnie, bo z tej odległości nie mogli nas usłyszeć. Zresztą i tak chcieliśmy, żeby nas zobaczyli. Im wcześniej, tym lepiej.

Przez kolejne dwie minuty wóz wolno toczył się po betonowych płytach, pomiędzy których pięły się ku niebu bujne chwasty. Wystawiona przez okno biała flaga łopotała na suchym

wietrze. Czuję, jak krople potu spływają mi po plecach, częściowo z upału, częściowo z nerwów. Przecież nie mogliśmy mieć pewności, że tamci nie otworzą ognia i nie zmienią naszego busa w durszlak. Kiedy jednak znaleźliśmy się jakieś piętnaście metrów od bramy, pojawił się wartownik, ubrany jedynie w szorty i japonki. Tylko kałach przewieszony przez ramię nadawał mu odrobiny urzędowej powagi.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, gdy zatrzymaliśmy się obok niego.

– Szukamy... eee... – Spojrzałem na zmięty świstek, na którym zapisałem sobie rano wszystkie informacje. – ...Gwiazdy spadają w dół. Wie pan, gdzie to jest?

Strażnik wsadził głowę do samochodu i zlustrował nasz artystyczny bajzel.

– Jesteście kapelą, tak? Spóźniliście się. – Jego twarz skrzywiła się w dziwacznym uśmiechu. – Zaczekajcie. Otworzę bramę. Pojedziecie prosto, główną uliczką aż do samego końca. Trudno się tu zgubić.

– Jasne – odparłem. – Dzięki.

– Aha, i witamy w Granitowym mieście.

Mężczyzna otworzył jedno skrzydło blaszanej bramy, a później usunął się z drogi. Gdy mijaliśmy go, pomachał nam wesoło. Okazało się, że za bramą było ich tam nawet z dziesięciu,

w różnym stopniu roznegliżowanych i uzbrojonych w rozmaite pukawki. Siedzieli w kółku i popijali czaj albo inne gówno. Nasz bus z na burcie nazwą zespołu Apo-Calypso wjechał na ogrodzony płotem teren i tocząc się powoli po zakurzonej gruntówce, wniknął pomiędzy ogromne chaszczce, porastające oba pobocza. Nie były niestety na tyle wysokie, by zapewnić choć odrobinę cienia w tym bezlitośnie palącym słońcu.

Jakieś dwieście metrów dalej musieliśmy się zatrzymać, bo przejazd zagroził nam tłum półnagich ludzi. Ktoś podszedł do nas i wskazał dróżkę odbijającą na bok. Gibon ruszył. Pomalutku, trąbiąc co chwilę, przedzieraliśmy się przez kolejne metry morza ludzkiej masy.

– Całkiem spory tłumek – mruknąłem. – Skąd oni nas znają?

– Nie przyszli na nas, tylko na Gwiazdy spadają w dół – odparł Gibon.

Nie wiedzieliśmy, czym dokładnie miała być ta impreza. Nasz menedżer Czarek z grubsza przekazał nam ustalenia poczynione tydzień wcześniej z wysłannikiem z Granitowego miasta. Dostałem jakiś taki pokreślony szkic scenariusza, na który nanie-siono czerwonym cienkopisem momenty z muzyką, nastrój utworów oraz szacunkowy czas. To i tak dobrze, bo często nie dostawaliśmy nic i szliśmy na żywioł.

Tłum się przerzedzał. Niby nadal gruntowa droga, ale teraz

rozszerzała się, by płynnie przejść w plac zewsząd otoczony ziel-
skiem. Po kolejnych kilkunastu metrach naszym oczom ukazał się
drewniany podest przypominający scenę. Byliśmy w miejscu
będącym odpowiednikiem bakstejdżu. Zatrzymaliśmy się i wyszli-
śmy, by rozprostować kości. Natychmiast podbiegł do nas facet
w starym, wypłowiałym garniturze, noszącym ślady wielu napraw.

– Nareszcie! Coście się tak ociągali? Wycieczkę krajoznaw-
czą sobie urządziliście?

Z pewnością musiał być tu facet, którego szukaliśmy.

– Rozkładajcie klamoty, zaraz zaczynamy. Przyszło całkiem
sporo ludzi, więc musicie dać z siebie absolutnie wszystko. Rozu-
miecie?

– Zawsze dajemy z siebie wszystko prze pana – odparłem
zgodnie z prawdą.

Drewniana platforma została oparta na krawędzi urwiska, bę-
dącego jedną ze ścian, głębokiego na sto dwadzieścia metrów
kamieniołomu. Ludzie ulokowali się na przeciwnej ścianie, po bo-
kach od sceny, oraz – jak się chwilę później okazało – w dole.
Obserwowali nas rozmawiając głośno. Rozmowy te tworzyły
szum, który odbijał się echem od ścian wyrobiska. Wrażenie było
potworne i fascynujące zarazem. Dotarł do mnie fakt, z którego
nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy: bałem się wysoko-
ści. Jak cholera. A ta drewniana, licha konstrukcja, nie sprawiała

wrażenia szczególnie solidnej. No, ale czego nie robi się dla kasy? Musiałem zacisnąć pośladki i wziąć się do roboty. Za stanie nam przecież nie płacili.

– Gdyby to wszystko runęło w dół... – zacząłem, kierując wzrok ku przepaści.

– Mielibyśmy problem – powiedział Gibon wyglądając niepewnie poza krawędź platformy. – Ale pewnie tylko przez kilka sekund. Na wszelki wypadek rozstawmy się w głębi sceny.

– Nie ma się czego obawiać! – zaśmiał się facet w garniturze. – To solidna konstrukcja, która przetrwała już niejedno przedstawienie. Swoją drogą nazywam się Max i będę prowadził dzisiejsze show. Podekscytowani?

– Jak cholera – mruknąłem.

– Słuchajcie, za chwilę zaczynamy. Trochę nam się wszystko przesunęło przez wasze spóźnienie, ale widzę, że ludzie jeszcze nie wychodzą, więc nie jest źle. Scenariusz macie, tam jest pan Darek, który zajmuje się nagłośnieniem – Max wskazał mężczyznę w brudnej koszulce i czapce z daszkiem.

O la la. Nagłośnienie. Burżuazja. Rzadko grywaliśmy poza Breslau na imprezach z prądem. Przygotowani byliśmy na unplugged, ale dla prawdziwych profesjonalistów nie ma czegoś takiego jak zaskoczenie. Skinąłem na Gibona, ten podszedł do pana Darka i zaczął coś z nim ustalać. Dostrzegłem, że faktycznie stały tam

głośniki, ale tak na oko to tych watów nie było zbyt dużo. Pomyślałem, że w tej kamiennej jamie akustyka będzie koszmarem, i że goście po drugiej stronie kamieniołomu będą głównie słyszeli, no ale to już problem organizatora, nie nasz.

Po kilku minutach byliśmy prawie gotowi. Prawie, bo nie dano nam czasu na choćby odrobinę dokładniejszą konfigurację odsłuchów, nie wspominając o krótkiej próbie. Ale nie byliśmy przecież pierwszymi lepszymi leszczami. Klient płaci, klient dostaje usługę najwyższej jakości. Żadnego partactwa. Żadnej amatorszczyzny. Żadnej lipy.

– Witamy w kolejnej odsłonie naszego live show, zatytułowanego Gwiazdy spadają w dół!

Max wyszedł prawie nad samą krawędź z megafonem, a nad sceną zapaliły się bardzo oszczędne lampy LED.

– Już za chwilę, swoją obecnością zaszczyca nas pierwszy gość, którego pewnie wszyscy doskonale pamiętacie z seriali i telewizji śniadaniowych. Kobiety gokochoły, mężczyźni podziwiali! Zapraszamy!

Przez chwilę poczuliśmy się jak w małpiarni. Ludzi ogarnęła prawdziwa euforia. Krzyczeli, klaskali, gwizdali i wymachiwali rękami. Trochę to wszystko było zagadkowe, ale profesjonalizm wymagał od nas także tego, by nie interesować się przesadnie sprawami klienta i nie okazywać zdziwienia na salonach jak dzi-

kusy, co to elektryczności nie widziały. Mielśmy być niewidzialni, o ile klient nie życzył sobie inaczej.

– Na zewnątrz przystojny amant, ale z pewnością zastanawiacie się jaki jest w środku? Dzięki nam, już za moment wasza ciekawość zostanie zaspokojona! – wykrzykiwał Max.

Na platformę wkroczyło dwóch rosyłych facetów z wózkiem inwalidzkim, na którym siedział trzeci, spętany jak baleron i zakneblowany. Asystenci mieli wygląd gestapowców, więc przez chwilę pomyślałem sobie, że będzie to jakiś taki show w klimatach. BDSM, trochę jak w Pulp Fiction w piwnicy u Zeda. Generalnie katastrofa, ale do przeżycia, o ile nie zmuszą nas do czynnego udziału w zabawie.

Skrepowany szarpał się niemiłosiernie, a gdy zbliżyli się do krawędzi platformy, Max jednym, szybkim ruchem odkleił taśmę z ust zakładnika.

– Błagam, puście mnie! Mam złoto i diamenty! – zawołał płaczliwie, i co ciekawe, na tyle głośno, że niektórzy ludzie z widowni usłyszeli i wybuchnęli śmiechem.

Nie ma to jak profesjonalna, wyuczona emisja głosu.

– Błąd mój przyjacielu! – krzyknął prowadzący. – MIAŁEŚ złoto i diamenty. Wzięliśmy je z twojego domu, gdy po ciebie przyszliśmy. Nie pamiętasz? Pewnie nie, bo byłeś nawalony koksem jak Iggy Pop w szczytowym okresie kariery.

Na dyskretny znak Maxa, gestapowcy postawili związanego na nogach i zabrali mu wózek spod tyłka. Mężczyzna zachwiał się niepewnie, ale któryś przytrzymał go ręką. Chyba Max właśnie. Podciągnął go do krawędzi platformy, a ja panicznym wzrokiem spojrzałem w scenariusz imprezy. No tak... Nigdy nie czytam ich tak szczegółowo. Boleśnie dotarł do mnie sens, jaki kryła w sobie nazwa tego widowiska.

– Czy chcesz coś powiedzieć swoim fanom, zanim zrzucimy cię w dół?

– Nie róbcie tego, błagam. – Aktor niemal tracił przytomność ze strachu. Był blady jak ściana, a po policzkach spływały mu łzy.

– Nie róbcie tego – powtarzał w kółko.

– Znasz nazwę naszego show. Brzmi ona: Gwiazdy spadają w dół. Zatem jego nieodłącznym elementem jest właśnie... spadanie w dół. – Prowadzący uśmiechnął się sympatycznie. – Kapela grać!

Nie było wyboru. Zaczęliśmy grać jeden z popularnych standardów calypso. Ujrzałem plamę moczu rosnącą na spodniach tego biedaka i odwróciłem wzrok w stronę widowni. To nie pomogło. Dostrzegłem facetów sprzedających hot-dogi, pop-corn i piwo. Momentalnie przepełniła mnie odraza. To była fabryka rozrywki. Oczywiście w swojej chorej, pokręconej wariacji, rodem z mokrych snów Charliego Mansona.

Spojrzałem na scenę. Aktorzyna nadal stał nad krawędzią zaciskając z całej siły powieki, jakby to mogło mu w jakikolwiek sposób pomóc. Max wpatrywał się w niego, w dalszym ciągu oczekując odpowiedzi, która by go zadowoliła. Była to raczej tylko gra, dla podbicia emocji.

– To co? Lecim na Szczecin?

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, chwycili związanego za ramię i pociągnął mocno w kierunku przepaści. Po krótkim, żalonym krzyku nastąpiła cisza, która zdawała się trwać absurdalnie, wprost niewiarygodnie długo.

Ileż on mógł spadać? A może już spadł? Nie... Teraz. Usłyszałem z dołu krzyk setek gardeł, niosący w sobie obrzydzenie, przerażenie i ekscytację. Wbrew własnej woli wyobraziłem sobie zgruchotane, nienaturalnie powykręcane zwłoki, w których nie pozostał nawet mililitr krwi. Bo tak to chyba musiało wyglądać: plask i nagły wzrost ciśnienia. Wszystko, co rzadsze, opuszcza ciało drogą tworzącą najmniejszy opór. A ponieważ nie ma w ciele takich naturalnych dróg dla krwi, to tworzą się one same, naczynia pękają, a krew pod ciśnieniem opuszcza ustrój w postaci czerwonej mgły i stróżek bryzgających w powietrze. Zrobiło mi się niedobrze.

– Wow! Wnętrze miał naprawdę bogate! – zawołał tryumfalnie Max, spoglądając w dół. – Mówi się, że gwiazdy to nie ludzie,

że są z wosku i nie mają duszy. Ale my właśnie zadaliśmy kłam temu krzywdzącemu stereotypowi! Jedno spojrzenie, utwierdzi każdego niedowiarka, że ten tu, to człowiek z krwi i kości, a kto w dalszym ciągu śmie wątpić, może za dodatkową opłatą zejść na dół, dotknąć, pomacać, a nawet zabrać kawałek ze sobą do domu, by móc objawić prawdę bliskim!

Ci na górze, którzy znajdowali się daleko od epicentrum, bili brawo i krzyczeli. Choć widziałem też i takich, którzy wychodzili zniesmaczeni. Ktoś zwymiotował. Jednak wszyscy oni, bez wyjątku, uiścili pewnie całkiem niemałą sumkę, by móc obejrzeć to osobliwe widowisko na własne oczy. Śmierć, której nie znali z życia codziennego. Nie szara i brudna, zastająca człowieka w rynsztoku. Nie podstępna, niczym sztylet w ciemnej uliczce. Śmierć w godnej sobie oprawie, z muzyką, światłami, doborową obsadą i profesjonalnie przygotowanym scenariuszem.

– A teraz przyszła pora na małą niespodziankę!

Impresario robił co mógł, by przekrzyczeć rozentuzjasmowany tłum, a ja zrozumiałem, że to niestety jeszcze nie koniec.

– Wszyscy doskonale pamiętacie, jak brukowce pisały o ostatnim związku naszego poprzedniego gościa? Pamiętacie tę uroczą blondyneczkę? Zdaje się, że też gdzieś grała.

– Zrzucałbym! – Krzyknął ktoś z widowni, na co kilku facetów stojących przy samej platformie, wybuchnęło gromkim

śmiechem.

– Niestety to nie ona będzie naszą dzisiejszą niespodzianką! Kiedy kilka dni temu złożyliśmy wizytę w domu naszego świętej pamięci gwiazdora, okazało się, że w jego sercu szczególne miejsce zajął już ktoś inny. Powitajcie Vanessę! – Wskazał na kotarkę, zza której wyłoniła się skrępowana sznurkiem kobieta. Prowadził ją na smyczy koleś odziany od stóp do głów w skóry, łącznie z maską, w której otwór na usta zapięty był na zamek błyskawiczny.

Ludzie szaleli, gwizdali i wiwatowali. Dziewczyna w wysokich szpilkach szła małymi, niepewnymi kroczkami. Oczy i usta miała pozaklejane taśmą monterską. Pewnie nie widziała śmierci swojego przyjaciela, ale przecież musiała wszystko słyszeć. Była ledwo przytomna ze strachu.

– Nie mogę na to patrzeć – powiedział Gibon. – Nie mówię, że...

– Zamknij się – uciszyłem go – nie mówiłem, bo nic nie wiedziałem. Czarek też mi nie powiedział. Po prostu skup się na swojej robocie. Zagramy, zgarniemy zapłatę i pojedziemy się nawalić, żeby jak najszybciej o tym wszystkim zapomnieć.

– Zajebię skurwiela jak wrócimy – mruknął pod nosem i wydobył srebrną papierośnicę z tylnej kieszeni.

Westchnąłem cicho. Ech te wrażliwe, artystyczne dusze. Do-

świadczanie nauczyło mnie, że udział w tego typu programach wiąże się, od czasu do czasu, z biernym uczestnictwem w jakichś potwornościach. Ale nie robiliśmy tego przecież od wczoraj. Gibon siedział w szołbiznesie tak samo długo jak ja.

– Daj spokój. – Próbowałem wpłynąć na jego morale, czy chociaż zracjonalizować to, co za chwilę się wydarzy. – Ona nie wygląda na osobę, która mogłaby sobie poradzić... no wiesz.. ze światem, z życiem. Prędzej czy później ktoś by ją dorwał na ulicy i... Mogłoby to się odbyć w znacznie gorszy sposób... Znacznie gorszy.

– Cicho palanty – syknęła Violet. – Zamknijcie się obaj, bo nas stąd wypierdolą na zbity ryj i nie zobaczymy ani uncji srebra.

Nasza rodzinna miała tylko siedemnaście lat. Znaleźliśmy ją w jakiejś fabryce na zadupiu. Broniła się przed kilkoma zbirami pałą owiniętą drutem kolczastym. Szło jej nawet całkiem nieźle, ale ostatecznie i tak uratowaliśmy jej tyłek. Miała naprawdę potworny charakter i wyglądała jak mały, paskudny goblin. Była nieodłącznym elementem zespołu.

– Podejdz tu dziecko! – powiedział Max głosem spokojnym i stonowanym.

Koleś w stroju sado-maso podprowadził dziewczynę do samej krawędzi. Prowadzący najpierw odkleił taśmę z jej ust, a później z oczu. Vanessa spojrzała w dół, cofnęła się odruchowo

i zaczęła piszczeć, więc znów zakleili jej usta.

– Biedna, mała ptaszyna. Już dobrze, już spokojnie. – Impresario pogładził ją po głowie. – To jest program Gwiazdy spadają w dół, a naszym gościem specjalnym jest Vanessa Basiura. Tym razem odpuścimy sobie wywiad, ale mam coś specjalnego!

Dziewczyna zaczęła się szarpać, więc obaj pomocnicy unieruchomili ją. Prowadzący wydobyl z kieszeni jakiś niewielki, błyszczący przedmiot.

– Niektórzy zarzucają nam, że jesteśmy niehumanitarni, i że dopuszczamy się strasznego okrucieństwa. Tak, ciągle słyszę te lewackie bzdury. I właśnie dziś rano, goląc się, zrozumiałem o co tak naprawdę chodzi tym cholernym hipisom! Wymyśliłem, jak być bardziej humanitarnym. – Uniósł do góry błyszczący przedmiot, który mógł być tylko i wyłącznie żyletką.

Dziewczyna zwiotczała nagle, jakby straciła przytomność, więc asystenci podtrzymywali ją pod łokcie. Pokrak rozwiązał sznurek, który krępował jej dłonie w nadgarstkach, ale pozostawił drugą linkę, która obwiązana była wokół ramion. Max dał nam znak, żebyśmy zaczęli grać. Spojrzałem na scenariusz, gdzie ktoś nabazgrał koślawym pismem „polka albo coś w tym stylu”.

Kiedy popłynęły pierwsze dźwięki, impresario z wielką precyzją, pootwierał żyły na nadgarstkach kobiety. Krew ciekła dość wartkim strumieniem, ale Vanessa nadal pozostawała jak w letar-

gu. Być może nafaszerowali ją wcześniej środkami uspokajającymi lub narkotykami.

Tym razem również Max wypchnął ofiarę za krawędź, jak worek kartofli. A po chwili dotarł do nas huk, gdy ciało roztrzaskało się na kamieniach.

– Wyglądają, jakby... trzymali się za ręce – powiedział prowadzący do megafonu. – To na swój sposób piękne. Prawdziwa miłość. Za życia i po śmierci. Tak drodzy państwo, śmierć jest wszędzie, otacza nas ze wszystkich stron. Oddychamy śmiercią, jemy śmierć i sramy nią... Od śmierci nikt nie ucieknie.

Czułem, że Gibon za chwilę pęknie. Jego twarz była czerwona, a na czole pojawiły się żyły. Wpatrywał się w Maxa oddychając szybko i płytko, a ja rozpaczliwie usiłowałem oderwać choć na chwilę jego uwagę od wydarzeń rozgrywających się na scenie. Oczywiście ani ja nie mogłem przestać grać, ani on też nie przestawał. I chyba tylko to pozwalało nam utrzymać jakikolwiek pozór, że wszystko jest w porządku.

– Gibon kurrrrrrwa – wyszeptałem przez zęby. W końcu spojrział na mnie tym swoim przepełnionym wściekłością wzrokiem i zrozumiałem, że mamy przesrane. – Ani się waźzzz. – rzeziłem jak pies, któremu kość stanęła w gardle.

W końcu dotarliśmy do refrenu, a gdy tylko wybrzmiała ostatnia nuta, złapałem go za ramię i przytrzymałem w pozycji

siedzącej. Spojrzałem na pistolet przy jego pasku. Nie odbezpieczyłem go, ale magazynek był załadowany. Wystarczyły sekundy, by rozpocząć regularną rzeź, z której na pewno nie wyszlibyśmy żywi.

Violet pokręciła głową z rezygnacją i skierowała swój wzrok ku niebiosom.

– Ja pierdolę. Za co?

– To już koniec. Zbierajmy się – rzuciłem krótko. – Zaczynajcie składać sprzęt, a ja pójdę po zapłatę.

Zapłatę. Nie pieniądze, nie forszę, siano, sałatę ani nic z tych rzeczy. Po prostu zapłatę. Po Resecie papierem można było co najwyżej podetrzeć sobie tyłek. Szczególnie, że dobry papier toaletowy też miał swoją cenę, często nie małą. A stary pieniądz znajdował zainteresowanie tylko wśród świrów i kolekcjonerów, którzy w swej naiwności wierzyli, że jeszcze kiedyś powróci do łask.

My za chałtury kasowaliśmy w twardej walucie, jaką było paliwo, jedzenie, woda, lekarstwa, ale przede wszystkim broń i amunicja. Wprawdzie w oficjalnym obiegu były także diamenty, złoto, srebro, platyna oraz pallad, jednak my nie bawiliśmy się w takie rzeczy, jeśli nie było potrzeby. Później i tak trzeba było szukać kogoś, kto by nam to wymienił na bardziej interesujący nas pieniądz.

Oddaliłem się kilka kroków i wyjąłem z kieszeni bluzy srebrną papierośnicę ozdobioną gołymi babami. W środku była już ostatnia cygaretką, własnoręcznie wykonana ze zwiniętych liści tytoniu i marihuany. Uznałem, że po takim stresie należy mi się chwila relaksu i zapaliłem. Za robotę i tak pewnie dostaniemy dobrą zapłatę, to po powrocie do Breslau zaopatrzę się u dostawców Czarka w nowy towar.

Podszedłem do Maxa, który podobnie jak ja, uciął sobie przerwę na dymek.

– Będziemy się zbierać. Co ciekawego masz dla nas?

– Chodź – powiedział i ruszył w stronę zaparkowanej obok sceny Subaru Imprezy. – Świetnie się dziś spisaliście. Pełen profesjonalizm. Jestem pod wrażeniem.

Otworzył bagażnik, który krył w swym przepastnym wnętrzu wiele rarytasów. Aż mi się oczy zaświeciły. Chociaż nie było tam paliwa ani żywności, które stanowiły dla nas obecnie towary pierwszej potrzeby. Było za to kilka plastikowych kanistrów, oznaczonych markerem jako bimber. Były nowiutkie panele słoneczne i akumulatory, w sumie kilka zestawów. Bardzo przydatna rzecz w trasie, ale od biedy można się obejść. No i na końcu broń. Dużo broni. Trochę pistoletów, jedna fajnie wyglądająca strzelba i kilka kałachów. Zawsze chciałem mieć takie cacko dla siebie, ale jakoś nigdy nie było okazji.

Facet dostrzegł moje zainteresowanie AKMami, otworzył skrzynię amunicyjną i pokazał mi magazynki. Sporo tego było, a przy ostrej wymianie ognia dodatkowe magazynki szalenie ułatwiają życie.

– Podobają ci się, co? – zapytał w końcu. – To dobra broń. Najlepsza na świecie. Produkowana w ZSRR. Nie jakieś chińskie gówno. – Podniósł do góry jeden z kałachów, podpiął magazynek i zarepetował.

– Ile sztuk moglibyśmy dostać za tę robotę? – zapytałem, na co Max zareagował śmiechem.

– Ile? Jedną. Nie są tanie. To doskonała broń, warta każdych pieniędzy. Krakowskim targiem, z uwagi na dobrze zapowiadającą się współpracę, mogę dorzucić drugi magazynek i sto sztuk amunicji – powiedział i nonszalancko rzucił prawie pół prawdziwego papierosa na ziemię, jakby to był byle skręt. – Jeżeli przyjdziecie tu za tydzień, przywiozę SWD, snajperkę. Bliźniacza konstrukcja, tylko dużo dłuższa. Skuteczniejsza na znacznie większy dystans.

Cholera. Gibon nie zgodzi się, żeby zagrać jeszcze raz. Nie wiem, jak mógłbym go przekonać. Zresztą, cholera wie, co w tej jego chorej bani siedzi. Może na dobre się zniechęcił i nasza kariera w szolbiznesie właśnie dobiegła końca?

– Dobra, wezmę tego krótkiego, a za tydzień przywieź snajperkę – powiedziałem.

Jak Gibon zobaczy mojego kałacha, będzie mi strasznie zazdrościł. To ja mu wtedy powiem, że może dostać lepszego, jeśli przyjedziemy zagrać za tydzień. Cholera, potrzebowaliśmy takiej broni. Wraz z końcem lata i zbliżającą się jesienią, na drogach robiło się niebezpiecznie. Bandziory i bojówkarze porzucali uprawy rolne i szli w rozbój na pełen etat. A nie będziemy ze strachu siedzieć w dupach i grać tylko w Ludzkim bębnie, bo nic przecież nie zarobimy. Kto zatrzymuje się w jednym miejscu na dłużej, osiada jak stary blok i pewnego dnia budzi się z kulą w dupie.

Uścisnąłem dłoń Maxowi, przewiesiłem karabin przez ramię, amunicję wrzuciłem do kieszeni cargo i ruszyłem w stronę naszego pojazdu, przy którym stali moi. Przyglądali mi się mocno sceptycznie, a właściwie byli wręcz wkurwieni.

– Gdzie paliwo? – zapytała Violet. – Żarcie? Woda? Co ty? Ochujałeś?

Ciężki jest żywot wizjonerów, którzy odważnie idą krok do przodu przed innymi. Wszyscy mieliśmy ciężki dzień. Ta chałtura była naprawdę słaba i gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym wszystko, żeby tu nie przyjeżdżać. No, ale nigdy nie wiadomo, w co się człowiek wpakuje, zanim się nie wpakuje. A skoro już przyjechaliśmy, skoro straciliśmy benzynę i zagraliśmy na tej chujowej stypie, to mleko było już rozlane. Było po wszystkim. Czy odrobina wyrozumiałości dla innych, to naprawdę aż tak dużo?

Czy wymagałem zbyt wiele? Jebnięci kutasiarze!

W drodze powrotnej panowała całkowita cisza. Nie dosłownie, bo zarzynany silnik burczał błagalnie, jakby to były jego ostatnie chwile. Moi towarzysze byli na mnie wkurwieni. Nie docierały do nich żadne racjonalne argumenty o tym, że musimy się jakoś bronić przed napaścią, ani że Max nie miał ani wody, ani paliwa. W pewne chwili Gibon wyjął swojego Glocka i zaczął prawić mi kazania na temat tego, jak dużą krzywdę można zrobić bliźniemu, za pomocą kuli kaliber dziewięć milimetrów. Nie zgadzałem się z nim i zacząłem wygłaszać elaborat na temat właściwości balistycznych typowej kuli z kałacha oraz jej zachowania w zetknięciu z tkanką miękką.

W końcu Violet powiedziała, żebyśmy się zamknęli i że mamy małe fiuty. No i znów zapanowała złowroga cisza, która trwała jeszcze przez wiele kilometrów. Stara, dobra, złowroga cisza...

– Zatrzymajmy się może, co? – zaproponowałem po kilku kilometrach.

Do Breslau był rzut beretem, ale strasznie lać mi się chciało, no i ostatecznie uważałem, że Violet jest zmęczona i powinna

przekazać kierownicę komuś innemu.

– Już całkiem niedaleko. Nie ma sensu się teraz zatrzymać. – Violet nie odpuszczała.

Nie ma sensu... nie ma sensu... Nie zdążyłem dobrze rozpedzić się z moimi złośliwymi uwagami, gdy nagle rozległ się huk i samochód zaczął gibać się na boki, jak kulawa dziwka. Złapaliśmy gumę. Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy. Violet zjechała na pobocze i wyłączyła silnik. Ja od razu odbezpieczyłem kałacha i zacząłem lustrować okolice poprzez przyrządy celownicze, choć było już ciemnawo. Opony nie pękają tak same z siebie. To mogła być zasadzka.

– Pięknie kurwa! – krzyknął Gibon gramoląc się z wozu. – Przestań pajacować i pomóż mi.

Mieliśmy wprawdzie zapas i narzędzia, ale nie w tym rzecz. Nie dalej jak miesiąc wcześniej, kupowaliśmy nowe opony. Facet, który je nam sprzedał, zarzekał się, że pochodzą z niemieckiej limuzyny rządowej i można na nich jechać nawet po przestrzeleniu. Jeszcze specjalnie pytałem, czy aby nas nie dyma. No to on, że przecież jest uczciwy człowiek, nigdy dla rządu nie pracował. A tymczasem guma pękła, jak się okazało, na pustej jezdni. Byliśmy zmęczeni, wkurwieni i wszystko sypało się jak Jenga wzniesiona z gówna.

Ale miałem kałacha. Wszedłem na zewnątrz i spacerowałem

sobie w tę i z powrotem, rozglądając się po okolicy.

– Nie zamierzasz mi pomóc?

Gibon zdążył już podnieść busa na lewarku.

– Ktoś musi stać na warcie. Tylko ja mam prawdziwą broń.

Facet miał chyba problem z wyobraźnią. Inaczej niż ja. Ja widziałem snajpera ukrytego w krzakach, obserwującego nas przez szkła lunety. Oddychał powoli, a jego palec spoczywał na spuście, ledwo go muskając. Na co czekał? Może zastanawiał się, czy da rady ściągnąć wszystkich, zanim ostatecznie z nas zdoła go zlokalizować? A może jego kumple zachodzili nas w tym właśnie momencie od tyłu, z dużymi zębatymi nożami?

Niemal godzinę zabrało nam usunięcie usterki. Znaczący się Gibon usunął, klnąc przez ten cały czas jak szewc. Upaprał się przy tym smarem i wyglądał przekomicznie. Gdy w końcu uporał się z poskładaniem wszystkich narzędzi, wsiedliśmy wszyscy do wozu i ruszyliśmy w dalszą drogę, milcząc sobie pośepnie. A ledwie pół godziny później zatrzymaliśmy się przed checkpointem u bram Festung Breslau. Wyszedł do nas stary znajomy, który z pewnością rozpoznał samochód, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności poświęcenia nam w oczy mocną latarką.

– Kto i w jakiej sprawie?

– Kurwa Janek!

Janek był bardzo pobożny i nienawidził bluźnierstw, jednak

norma cierpliwości Gibona została przekroczona już kilkakrotnie tego wieczora.

– Mogę was nie wpuścić – powiedział wartownik, teraz już sztywnym, urzędowym tonem. – Znacie prawo. Jeżeli wydacie mi się podejrzani, będziecie musieli poczekać do rana, aż spokojnie, w świetle dziennym, przeprowadzimy inspekcję wozu. A wyglądacie mi... naprawdę podejrzanie.

Nawet Gibon zrozumiał, o co chodzi.

– Dobra, słuchaj Janek. Mieliśmy naprawdę ciężki dzień. Marzę o ciepłej kolacji i wyrku. Czego chcesz?

Oczywiście chodziło o jakiś symboliczny gest dobrej woli. I tutaj przyszedłem z pomocą ja, bo akurat moje naboje pośrednie okazały się tym, co ugłaskało wartownika i pozwoliło nam spokojnie wjechać na teren Festung Breslau. Kolejny raz ratowałem sytuację i kolejny raz nie usłyszałem nawet głupiego „dziękuję”.

Gdy wóz zatrzymał się pod Ludzkim bębniem, było po północy. Byliśmy kompletnie wypompowani, więc jedyne, na co wystarczyło nam sił, to szybki posiłek. Nic wyszukanego, ziemniaczane curry odgrzane w mikrofalówce. Później udaliśmy się do naszej kwatery, pokoju, który Czarek pozostawiał do naszej dyspozycji, o ile nie miał innych gości. Były tam rozłożone gąbkowe materace, pokrywające większą część powierzchni podłogi. Wszyscy się mieściliśmy i nawet był luz. Niby zwykłe gąbki, ale

w porównaniu z fotelami w naszym busie, to był pięciogwiazdkowy hotel.

Kim właściwie był Czarek? Jak już wcześniej wspomniałem, był naszym menedżerem. Ale to trochę mało powiedziane. On był kimś więcej. Normalnie dusza człowiek. Podobno nazwa lokalu wzięła się od tego, że osobiście zrobił kiedyś ludzki bęben z faceta, który zabił jego psa. Funkcjonowała też wersja alternatywna. Ponoć jakiś facet przeleciał żonę Czarka, więc ten zrobił ludzki bęben z jego psa. Z oczywistych względów ta druga historia kompletnie nie trzymała się kupy. Czarek nie miał żony.

Więcej na: <http://bartoszadamiak.com/reset/>